



W
pełni
rozkwitających
Drzew

M. W. Jasińska

W Pełni Rozkwitających Drzew

© M. W. Jasińska

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D.B. Foryś

Redakcja: Ewelina Biernaś www.epitetykorekta.pl

Korekta: Aleksandra Baranowska

Projekt okładki: E.Raj

Skład: D.B. Foryś

ISBN: 978-83-68177-14-5

ISBN E-BOOK: 978-83-68177-15-2

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

Wydawnictwo Nie powiem

E-mail: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

www.niepowiem.com.pl

W pełni
rozkwitających
DRZEW

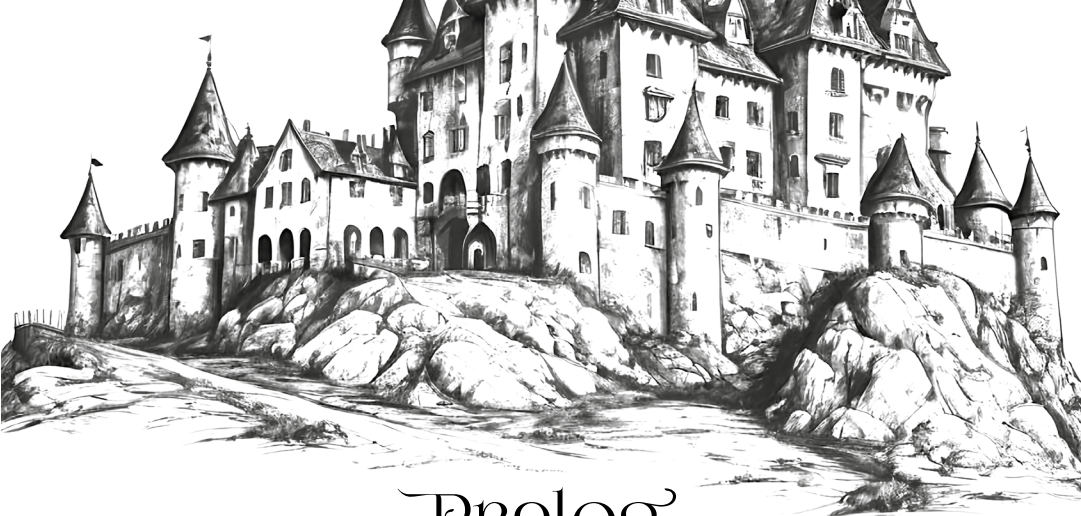
M. W. Jasińska

NIE
POWIEM

Zabytek. Odprysk teraźniejszości, która się już dokonała. Jest wszędzie i nigdzie. Czeką. Czeką na lustro wędrowca, w którym będzie mógł się przejrzeć. I wtedy zaśpiewa cicho, kamiennymi murami minionych zamków, o wielkości rodów i ich upadku. O miłości, zdradzie, zbrodni i okrutnej karze. Zabrzmi dźwiękiem dzwonów wiejskich kościółków, stojących skromnie od nie wiadomo kiedy, a których korzenie sięgają pogańskich kryształów. Zaprosi do tańca kamiennym murem, wijącym się przez pola, łąki i lasy. Wspomni szklarzy, górników, tkaczy, reformatorów religijnych, przemysłowców i zwykłych zbirów. Wojny, narody, języki. Zaśpiewa pieśnią zapomnianych rytów na kamieniach. Pozwoli ogrzać dłonie przy ogniu w przysłupowej chacie. I zniknie. Będzie czekał. Na wędrowca.

Ma czas.

Leszek Róžański



PROLOG

*Są rany, które się nie zablizniają,
są potoki, w których pragniemy zatonać,
są chwile, które przemijają,
są rzeczy, które przepadają na zawsze.
Usnąć pośród strapionych myśli,
zatonać w jeziorze słodkich słów
i nigdy, przenigdy nie obudzić się z tego cukrowego snu.*

* * *

– Feliksie, podaj mi drugi flakonik.

Chłopiec spojrział na swego pana i drżącą ręką wręczył mu buteleczkę.

– Możesz iść, wolałbym, aby cię tu nie było.

Malec się uklonił i posłusznie zniknął za drzwiami. Młody szlachcic pogładził palcami flakon, następnie wyciągnął rękę w stronę pięknie ubranej kobiety w średnim wieku.

– Nie, proszę... – wydukała, zalewając się łzami.

– Wypij to. – Mężczyzna wepchnął jej do ręki naczynie.

Niewiasta padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

– Chciałam cię ocalić! Ona jest winna! – Wskazała palcem na zgarbioną staruszkę, która siedziała na parapecie; w jej sękatych rękach mieniła się buteleczka z podobną zawartością. Starą i pomarszczoną twarz oświetlała księżycowa luna. Babuszka spokojnie wyglądała przez okno, jakby podziwiała zarysowane na nocnym tle góry. Po chwili niczym echo powtórzyła:

– Ona jest winna...

Mężczyzna podszedł do łóżka, na którym leżało ciało młodej dziewczyny. Usiadł na jego skraju i objął dłońmi kobiecą twarz.

– Taka zimna... – wyszeptał, patrząc w łagodne oblicze. – Wygląda, jakby miała zamiar zaraz się obudzić. A jednak nie żyje. – Uderzył pięścią w pościel, po jego twarzy spłynęła łza. – Otrułaś ją, matko. Przy pomocy tej kobiety. – Skinął na trzęsące się dłonie staruszki. – Powinnyście skonać w męczarniach, ale jakaś częśćka mnie nadal cię kocha. Dlatego pozwolę wam umrzeć w taki sposób, jak ona. Życiem zapłacicie za życie.

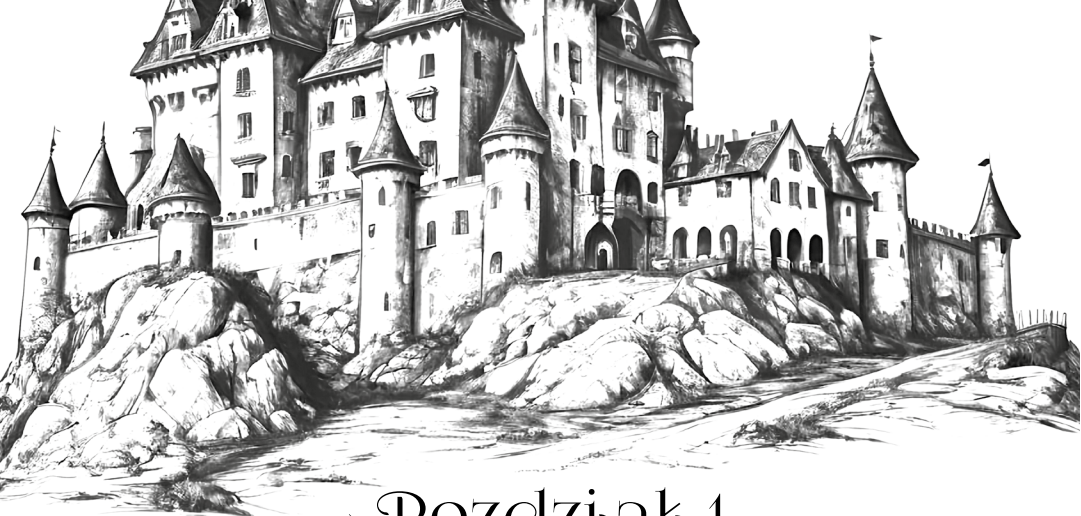
– Nie, proszę... – jęknęła klęcząca kobieta, przyciskając do piersi flakonik.

– Wolicie zatem tortury. Cóż, wasz wybór.

Staruszka posłusznie wlała zawartość buteleczki do ust. Matka się zawahała, spoglądając na mężczyznę, ale w końcu przechyliła flakon. Padła na podłogę i załkała, błagając o pomoc Najwyższego. Po kilku minutach ich ciałami wstrząsnęły konwulsje. Z ust starszej zaczęła się toczyć piana, a wyrodną matką szarpnęły potworne torsje. Źrenice się rozszerzyły, jakby chciały złapać resztkę wpadającego przez okno księżycowego światła. Pierwsza odeszła staruszka; nie mogąc zaczerpnąć tchu, udusiła się z otwartymi oczyma. Matkę zapewne spotkałby ten sam los, gdyby wcześniej nie uderzyła głową w kant szafy. Straciła przytomność, a z rozciętej rany

trysnęła krew. Kiedy makabryczna scena dobiegła końca, młody szlachcic ucałował zimną dłoń dziewczyny i zawołał służbę, by uprzątnęła ciała. Sam opuścił wieżę, a następnie zamek, przysięgając sobie, że nigdy więcej tam nie wróci.

Gdy odchodził, puszczyk zakwilił żałośnie. Na twarzy jego ukochanej pojawił się uśmiech.



Rozdział 1

Jestem potworem.

Pozbawioną sumienia bestią, której z biegiem lat zaczęła doskwierać samotność. Nauczyłem się żyć ze świadomością, że jestem po prostu zły. Nie można mnie pokochać, bo sam nikogo nie pokocham. Kiedyś kochałem – za bardzo. Tylko czy można pokochać potwora?

Żyłem dla siebie. Ciągłe zaczynałem od nowa, poszukując właściwego miejsca. Przez moje życie przewijały się kolejne, nic nie wnoszące osoby. Nie liczyłem się z uczuciami innych, bo sam nic nie czułem. Kiedyś czułem – za bardzo. Tylko czy potwór może mieć uczucia?

Żyłem, ale co to było za nie-życie? Znużony, postanowiłem podzielić się z kimś moją przygnębiającą historią. Nie oczekiwałem współczucia, bo nie można mi było współczuć. Sam nikomu nie współczułem. Kiedyś współczułem – za bardzo. Tylko czy można współczuć potworowi?

Tego dnia nie świeciło słońce, a wieczorne niebo w całości przykrywały deszczowe chmury.

– Ksawery von Zierotin. Czy zastałem pana von Reibnitza? – Zdjąłem czarny kapelusz i ukloniłem się przesadnie nisko.

– Tak, proszę wejść. – Służka oblała się rumieńcem i gestem dłoni zaprosiła mnie do środka. Wyciągnęła rękę, by odebrać pelerynę, ukradkiem zatapiając we mnie bursztynowe spojrzenie. Mimo że nie miała więcej niż siedemnaście wiosen, ciemne blond włosy upięte w kok dodawały powagi jej dziecięcej twarzy.

– Jak ci na imię? – Delikatnie ująłem jej smukłe palce.

– Ilona. – Dygnęła z gracją, unosząc rąbek szarej sukni.

– Miło mi cię poznać, Ilono. – Musnąłem ustami wierzch jej dłoni. Dziewczyna rozchyliła wargi ze zdumienia, a dotychczas nikły rumieniec przybrał teraz barwę purpury. Podniosła na mnie pełen podziwu wzrok i uśmiechnęła się przepięknie, zakładając kosmyk włosów za ucho.

– Słyszałam o panu, Elaine opowiadała... Poznała pana pewnego razu... Wspominała... – zaczęła, ale szybko się zorientowała, jak bezsensowna była jej wypowiedź. Instynktownie zakryła usta ręką i pokręciła głową z zażenowaniem, zapewne ganiąc się w myślach za zbytnią poufałość.

Westchnąłem. Nie stroniłem przy tym od uśmiešku, który wielu mógł się wydać złośliwy. Nieważne, nie obchodziły mnie jej nietakt czy zdenerwowanie. Spojrzałem na Ilonę, drapiąc się po świeżo ogolonej brodzie.

– Nie krępuj się, kontynuuj.

Służka wzięła głęboki wdech i już rozchyliła spierzchnięte usta, gdy nagle z korytarza dobiegł niski głos mężczyzny:

– Ilono, proszę, zostaw nas samych.

Cóż, mógł się zjawić minutę później. Gospodarz zamku, pan tutejszej wsi, sławny pan von Reibnitz. Strzelisty i dumny, stanął za dziewczyną i spojrzał na nią z góry. Gdy przechodził obok, niemal się o nią otarł, drażniąc tym samym moje oko. Mężczyzna miał na

sobie habit z granatowego sukna, wyszywany w motywy przypominające miniaturowe bukiety i girlandy, z przodu zapinany na haftki. Brzegi niskiego i stojącego kołnierza również ozdabiał haft, podobnie jak kamizelkę, zapinaną na dziesięć ozdobnych guzików. Spodnie również idealnie dopasowano do góry stroju.

A niech diabli wezmą jego i całą tę wyniosłość. Nie lubiłem współczesnej mody, w takich chwilach tęskniłem za czarnym, lekarskim płaszczem, który porzuciłem lata temu.

Ilona się wzdrygnęła. Ponownie wyciągnęła w moją stronę dłoń i niemal wyrwała mi przewieszony przez ramię czarny habit. Był podobny do tego, który nosił pan von Reibnitz, z tą różnicą, że miał zdecydowanie mniej ozdobnych elementów. Służka pewnym ruchem powiesiła go na wieszaku, by czym prędzej zniknąć za rogiem.

– Miła dziewczyna – zwróciłem się do gospodarza.

Odwrócił się i zaprosił mnie do środka. Och, gdyby tylko wzrok potrafił sprawiać ból, z pewnością te zimne, jasnozielone oczy zadałyby mi najdotkliwszą z możliwych ran.

– Lubi pan spoufalać się ze służbą, jak mniemam? Mniejsza z tym. Jest pan bardzo punktualny, ani minuty spóźnienia – rzekł, zerkając na kieszonkowy zegarek. Po wewnętrznej stronie wieczka widniał wizerunek niezwykle pięknej kobiety o łagodnych rysach twarzy, jasnych włosach i dużych ciemnych oczach, w których od razu można było się doszukać szczerzej dobroci.

Pan von Reibnitz był trzydziestoletnim wdowcem, chociaż z tego, co zdążyłem zasłyszeć od tutejszych handlarzy, od śmierci żony przez jego dom przewijały się co jakiś czas nadgorliwe kobiety. Niekoniecznie młode i piękne, co dodatkowo dziwiło i stwarzało okazję do plotek, gdyż sam gospodarz należał do przystojnych mężczyzn – charakteryzowały go szlachetna twarz i bujna, brązowa czupryna, zza której spoglądały przenikliwe oczy.

Podobno bardzo kochał żonę. Małżeństwo trwało niecały rok. Tragedia miała miejsce wiosną, pięć lat temu, kiedy pani von Reibnitz bez wiedzy męża wybrała się na samotną przejażdżkę w księżycową noc. Podczas tej wyprawy na leśnej polanie koń prawdopodobnie przestraszył się węża i zrzucił swą panią, a ta uderzyła głową w wystający kamień.

I umarła, tak po prostu. W świetle pełnego księżyca.

Jakże szybko i głupio można zginąć przez drobne zachcianki! Oby chociaż skonała szczęśliwa, w końcu oddała życie w imię ukochanej rozrywki. Cóż, według relacji napotkanego w Reibnitz chłopca kobieta słynęła z nietuzinkowych pomysłów. Postanowiłem w to nie wnikać.

– Rozmowa jest niezwykle cennym narzędziem. Rzekłbym, że nawet bronią – rzuciłem, poprawiając przy tym żabot, który zawinął się, gdy ściągałem habit.

Mężczyzna zamknął zegarek i schował go do kieszeni, z której zwisał złoty łańcuszek.

– Pusta rozmowa pozbawiona sensu, byle tylko gawędzić z równie bezwartościowymi osobami, jedynie zabiera czas i energię. Ale zapraszam, proszę usiąść i się rozgościć. Czuć jak u siebie to pan się na pewno nie będzie, na takie warunki bowiem mnie nie stać, ale warto spróbować. Moja marna rezydencja nie umywa się do pańskiego zamku. – Silił się na zbędne uprzejmości. Oczywiście musiał być przy tym nieco uszczypliwy.

– Pański zamek także jest całkiem spory. Spory i przytulny. – Omiotłem spojrzeniem obity drewnem korytarz, następnie zerknąłem na strój gospodarza. – Czy aby nie jest panu za ciepło w pełnym ubiorze?

– Nie, jest w sam raz – burknął. – Zapraszam.

Po krętych schodach udaliśmy się na piętro, do pokoju kominowego. Usiadłem przy niewielkim, okrągłym stole i przez chwilę

się rozglądałem. Na jasnych ścianach wisiały poroża jeleni i skóry innych dzikich zwierząt. Z boku, oparta o kominek stała strzelba. Pokój urządzone w tradycyjnym dworskim stylu, jednak widać było, że od dawna brakowało tam kobiecej ręki. Mimo licznych modnych roślinnych wzorów na meblach i zasłonach nie dostrzegłem żywych kwiatów. Tylko rogi, skóry i obrazy przedstawiające jeźdźców. Prawdziwie męski świat, w którym nie było miejsca dla niewiasty.

Nie było tu śladów żadnej kobiety.

– Napije się pan wina? Białe, wytrawne, sprowadzone prosto z Szampanii. – Uśmiechnął się do mnie zachęcająco, sięgając po butelkę.

– Nasze zamki leżą od siebie w pewnej odległości i w drodze powrotnej wolałbym nie spaść z konia. Na dodatek przyznam, że nie jestem miłośnikiem francuskich win. Wolę jerez¹.

– Wielka szkoda.

Nie byłem pewny, czy ma na myśli mój domniemany wypadek, czy odmowę trunku.

– Ech... trudno dostępne – westchnął, stawiając kieliszek na stole. – Jaka szkoda, że posiadam jedynie francuskie i węgierskie trunki. Proszę się jednak nie smucić! Musi pan spróbować mojego nowego nabytku. Herbaty, którą sprowadzono, o dziwo, prosto z południa kontynentu. Należę – uprzejmiem zadecydował za mnie.

Białą, porcelanową filiżankę wypełnił zielonym naparem, który następnie podsunął mi pod nos. Imbryk postawił na środku stołu. Sam sięgnął ponownie po otwartą butelkę ze złotą substancją i zalał nią obficie kieliszek. Bez wątplenia nie była to jego pierwsza lampka tego dnia.

¹ Jerez – także sherry, xeres; hiszpańskie wino pochodzące z Andaluzji.

– *In vino veritas!*² – Wypił duszkiem.

– *In aqua sanitas!*³ – rzuciłem i popiłem słowa naparem. Moje nozdrza uderzył przyjemny, znajomych zapach. Wziąłem kolejny łyk, delektując się mocnym aromatem.

Mężczyzna odłożył kieliszek i przetarł ręką zmęczone oczy.

– Ostatnimi czasy bardzo źle sypiam. Miewam koszmary, które zdają się przenikać z rzeczywistością. Wczoraj wieczorem ktoś złośliwy otworzył zagrodę i wszystkie moje konie urządziły sobie nocną eskapadę. Na szczęście poddane zostały wymagającej tresurze, zatem udało mi się je przywołać co do jednego, ale nawet dla mnie było to nie lada wyzwanie. Nie przypominam sobie, abym komuś zaszkodził... Może po prostu pobliskie dzieci robią sobie żarty ze starego samotnika?

Parsknąłem pod nosem.

– Może. Chociaż z tą starością pan przesadza.

Kolejny łyk. Moc naparu rozeszła się po całym moim ciele, docierając do głęboko ukrytych wspomnień. Pan von Reibnitz przypatrywał mi się z wyraźnym zadowoleniem, licząc każde przechylenie filiżanki. Doprawdy, jego jasnozielone oczy były równie przeszywające, co woń herbaty.

Tylko nieco mniej przyjemne.

– Jak to możliwe? Dlaczego pański krewny, Ludwig von Zierotin, baron von Lilgenau, nagle, po ponad sześćdziesięciu latach posiadania zamku, postanawia go sprzedać zwykłemu kupcowi, który rok później ginie niezwykle tajemniczą śmiercią? I znikąd wprowadza się właśnie pan. Nie słyszałem, aby Ludwig von Zierotin miał więcej krewnych, niż powszechnie przyjęto.

² *In vino veritas!* (łac.) – W winie prawda!

³ *In aqua sanitas!* (łac.) – W wodzie zdrowie!

– Niedopowiedzenie. Friedrich Schmidt zmarł prawdopodobnie na atak serca, a wdowa po nim, pani Margarethe Elisabeth, знаła historię zamku, więc oddała go i uznała mnie za prawowitego właściciela. Być może wystraszyła ją nagła śmierć męża i krążące o murach Kemnitz opowieści. Wuj Ludwig sądził, że osiadę na Węgrzech, dlatego nie wziął mnie pod uwagę w dziedzictwie majątku. Poniekąd takie miałem plany.

– Czyli rodzina o panu zapomniała. Muszę przyznać, że nieco dziwna historia. – Łypnął na mnie podejrzliwie.

Posłałem mu szczery uśmiech.

– Uchodziłem za czarną owcę. Nie czułem potrzeby ciągłego kontaktu, co odbiło się na mej reputacji – rzekłem spokojnie, wpatrując się w zawartość filiżanki. – Widzę, że przeprowadził pan szczegółowy wywiad na mój temat. Czuję się zaszczycony, że obdarzył mnie pan aż takim zainteresowaniem.

– Albert. Mówmy sobie po imieniu. W końcu jesteśmy sąsiadami, a warto znać osoby, które mieszkają w pobliżu. Dolać? – Wy-mownie chwycił imbryk i uniósł go odrobinę. Nie czekał na moją odpowiedź, sprawnie napełnił filiżankę naparem. Nieco drżały mu przy tym dłonie.

– Ksawery. Na samym początku wspomniałeś o bezsenności i koszmarach wpływających na codzienne życie. – Ściągnąłem brwi. – Czy mógłbym ci jakoś pomóc? A może rozmowa... Czasami łatwiej jest otworzyć się przed kimś nieznanym, by usłyszeć obiektywną opinię.

– Nie trzeba, mam lekarstwa, a o koszmarach wspomniałem w kontekście koni. Z ust służby doszły mnie słuchy, że ostatnio często widuje się młodego pana von Zierotina pośród pospólstwa, także w mojej wsi. Miałem nadzieję, że być może byłeś świadkiem

jakiegoś głupiego zakładu. Na przykład usłyszałeś, kto mi złorzeczył. A może sam brałeś udział w takiej scenie, skoro tak bardzo cenisz sobie rozmowę...

– Niestety, nic mi o niczym nie wiadomo – wtrąciłem, przykładając filiżankę do ust. Chociaż wiedziałem o obserwacji mojej osoby, odkąd pojawiłem się w Kemnitz, to dokładność inwigilacji robiła na mnie ogromne wrażenie.

– Przykro mi. W ten sposób faktycznie mógłbyś mi pomóc. – Gospodarz przesunął kieliszek na środek stołu, następnie złożył dłonie, splótł palce i wbił wzrok w ornament na filiżance, z której delektowałem się naparem. – Przejdźmy jednak do rzeczy, przyjechałeś z jakąś ważną sprawą. Można wiedzieć, czemu zawdzięczam twoją obecność w Reibnitz? Nie zrozum mnie źle, naprawdę jest mi niezmiernie miło poznać nowego pana von Zierotina, ale nurtuje mnie powaga owego problemu.

– Dobrze, przejdźmy zatem do rzeczy. – Zaczepnąłem kolejny łyk, a następnie ostrożnie postawiłem filiżankę obok pustego kieliszka, igrając ze zniecierpliwieniem von Reibnitza. – Chcę jednego. Właściwie jednej. Dziewczyny.

Nerwowo poluzował kołnierzyk przy szyi. Chrząknął, jakby miało to odgonić ogarniające go zakłopotanie. Mimo że nie należał do dobrych kłamców, nie można mu było ująć inteligencji. Najpewniej doskwierała mu świadomość, że kręctwem nic nie zyska, tym bardziej nie zatai uwierającej prawdy. Zakaszłał, ponownie poprawiając kołnierzyk, jakby słowa utkwily mu w gardle. Dyskretnie zerknął na wiszący na ścianie zegar.

Czekałem na jego odpowiedź, przypatrując się zmieszanym ruchom. W całym tym zakłopotaniu był całkiem zabawny.

– Niestety nie wiem, o kogo pytasz. Pracuje tu wiele kobiet.

Jednak kłamstwo.

– Ciemnowłosa, drobnej postury. Młoda. Ładna. Klasyczna uroda i duże, brązowe oczy... – przerwałem, wyczuwając jego reakcję.

Mężczyzna uderzył dłońmi w blat stołu z taką siłą, że wzburzył napar w odstawionej filiżance i niemalże przewrócił kieliszek, na szczęście pusty. Następnie wziął głęboki wdech i wycedził:

– Chodzi o Elaine. Mieszka i pracuje w tym domu od dziecka.

A teraz prawda. Ale niech to, prawie wylał tak cudowny napar! Cóż, przynajmniej przestał udawać.

Skrzyżowałem ręce na piersi.

– Marnuje się. Widziałem, jak opowiadała bajki w sierocińcu. – Uśmiechnąłem się pod nosem. – Zasługuje na więcej, dlatego jutro opuści mury pańskiej posiadłości – rzekłem, z satysfakcją zerkając na zegar.

Von Reibnitz stracił oddech, a krew odpłynęła mu z twarzy.

Od początku wiedział, po co tu przyszedłem. Wyczytałem to z jego zimnego spojrzenia, którym uraczył mnie na powitanie. Nawet doklefony, wężowy uśmiech nie zdołał ukryć tych jasnozielonych igiełek! Niewiarygodne. Czyżby pan von Reibnitz naprawdę sądził, że to on pociąga za sznurki? Że tak po prostu wpadłem w zastawioną przez niego pułapkę? Muszę przyznać, że całkiem interesującą, ale i tak marną. W końcu skąd mógł wiedzieć, z kim przyszło mu się zmierzyć?

Ot, strzelisty i dumny pan von Reibnitz, wytworny i wpływo- wy, szanowany i podziwiany, był w mojej tragedii tylko kolejnym nieudolnym aktorem, którego nazwisko pragnąłem czym prędzej wykreślić z listy.

Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze niewielki fragment roli pozostał do odegrania.

– Widzisz, Alfredzie... – zwróciłem się do niego, łamiąc milczenie przesycone nienawiścią.

Nerwowo stukał palcami w blat, a na jego czole pojawiła się kropelka potu, gdy po raz kolejny spojrzął na wskazówki zegara.

– Albercie – poprawił, wpatrując się w tarczę, jakby próbował wzrokiem przyspieszyć płynący czas. – Czego od niej chcesz?

Sięgnąłem po filiżankę i haustem wypilem całą zawartość. Choć jego nazwisko zaszło mi głęboko pod skórę, imię pozostało bez znaczenia.

– Chcę, aby ze mną zamieszkała. To wszystko.

Pan von Reibnitz ukrył dłoń pod habitem.

– A co, jeśli się nie zgodzę? Elaine ma talent. Ma szansę się rozwinąć...

– U twego boku, jak rozumiem. I to w swoim czasie, kiedy sam o tym zadecydujesz. Och, nie. Pozwól, że to ja zostanę jej mecenasem, a nie taka podstępna gadzina, która co dzień próbuje zapić swe nieczne postęпки wykwintnym trunkiem. Alfredzie, wiem o laudanum i o twoich opiumowych upodobaniach. Co więcej, skłamałeś, że nie masz tu jerez. – Westchnąłem głośno i z dezaprobatą pokręciłem głową. Dolałem naparu, wstałem od stołu, biorąc ze sobą filiżankę, i podszedłem do jednego z poroży na ścianie. Na chwilę zawiesiłem na nim spojrzenie, następnie dodałem: – Boże, czuję się zraniony. Kiedy zacząłeś patrzeć na mnie takim wzrokiem?

Pan von Reibnitz zaciskał drżącą dłoń na pistolecie przykrytym habitem. Jego oczy przypominały teraz duże, okrągłe guziki.

– Ona ode mnie nie odejdzie. Nie zostawi mnie z własnej woli, jeśli jej nie zwolnię. Jeśli jej na to nie pozwolę – rzekł, starając się o stanowczy ton. Tym razem nieudolnie, bo trząśł się jak galareta na pańskim stole.

Roześmiałem się, wodząc palcem po brzegu filiżanki. Był całkiem niezłym aktorem. Aż do teraz.

Wzięłem głęboki wdech.

– Po prostu cię zabiję, a pozbawione krwi truchło zakopię głęboko w lesie, w cieniu wielkiego dębu, by oddać cześć przodkom i zachować patos chwili. Znałem kiedyś pewnego Alberta. Ech, świeć Panie nad jego duszą, paskudna osobowość, a smakował jeszcze gorzej. A jeśli już o paskudnym smaku mowa, wyborny napar! Nic, tylko pić i umierać. Liście, pędy czy też kwiaty... Duża ilość cukru doskonale kamufluje gorycz, jaką niesie ze sobą oleander. Wystarczy tylko pół łyżeczki sproszkowanych liści, aby niebezpiecznik konał w męczarniach przez trzy godziny... Brak czucia w ustach, wymioty, zaburzenia pracy serca i potworne duszności. Ty chciałeś zaoszczędzić czas i zwiększyłeś dawkę do łyżeczki, prawda? Dodając dla pewności strychniny – wyrecytowałem.

Stukałem w filiżankę palcami, udając, że wcale nie widzę nieustanie się powiększających oczu mężczyzny. O ile wcześniej starał się zapanować nad wzbierającymi emocjami, o tyle teraz miałem wrażenie, że od nadmiaru nerwów ta plugawa bańka zwyczajnie eksploduje. Wreszcie dotarło do niego, że nie ma innego wytłumaczenia.

– Kim ty... Nie! Czym ty, do diabła, jesteś?! – wykrzyczał w moją stronę zachrypniętym głosem.

Milczałem.

Nie dlatego, że nie chciałem odpowiedzieć, po prostu odpowiedzi nie było. Po dłuższej chwili odłożyłem pustą już filiżankę na stół, przy którym nadal siedział Albert ściskający pistolet.

– Jutro zaczyna u mnie pracę. Albercie, przekazaj Elaine, że ma zjawić się jeszcze dzisiaj.

Skierowałem się do wyjścia, zostawiając za sobą grozę.

Podniosłem się z fotela i wolnym krokiem podszedłem do okna. W blasku świec zauważyłem swoje kobaltowe, równie błyszczące oczy. W zależności od kąta padania światła czy też pory dnia tęcza potrafiła przybierać różne odcienie, od ciemnego granatu aż po głęboki fiolet. Za życia moje oczy były po prostu niebieskie. Należały do lekarza, społecznika, altruisty o wielkich ideach. Niegdyś chciałem się poświęcić innym. Ileż to razy wystawiałem swoje młode serce na pokaz, ryzykując, że pożrą je egoistyczne wilki?

Jakiż ja byłem głupi i bezmyślny.

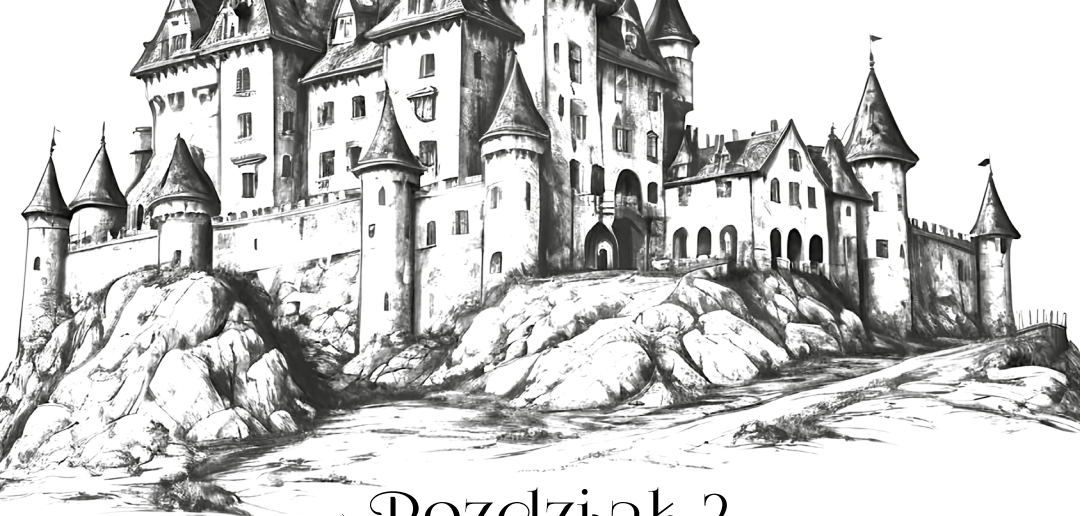
Obserwowałem uważnie rozbijające się o szybę i tworzące rozmaite obrazy krople. Strużki deszczu spływały powoli po odbiciu mojej twarzy, przypominając o bólu, którego doświadczyłem w ostatnich chwilach ludzkiego życia, kiedy jeszcze oczy potrafiły ronić słone łzy.

Niemy księżyc patrzył na mnie z góry, zawsze tak samo bezczelnie. Nie mogłem przed nim uciec. Księżyc – stwórca śledzący uważnie poczynania swojego wygnanego dziecka dążącego do samodestrukcji.

Niczego nie żałuję.

Odwróciłem się do siedzącej na fotelu dziewczyny.

– To moja sztuka, spisana w Pełni Rozkwitających Drzew.



Rozdział 2

Przykucnąłem, przyglądając się polanom tłącym się w kominku. Dorzuciłem kilka kawałków drewna i ułożyłem je ostrożnie jeden przy drugim, aby nie zgasić paleniska. Ogień się rozrósł, a płomienie oświetliły pokój, rzucając jasne refleksy na przejętą twarz dziewczyny.

– Dlaczego pan mi to mówi? – Poderwała się z fotela. – Ta historia jest nieprawdopodobna! Mogłabym ją wziąć za majaki chorego umysłu...

– A jednak mi nie przerwałaś. Słuchałaś z zaciekawieniem, dopuściłaś do siebie każde słowo. – Mrugnąłem do niej.

Milczała.

Stąpała niespokojnie po pokoju, zerkając na otaczające nas obrazy. Zatrzymała się przed idealną repliką *Głowy Meduzy* Rubensa. Rozchyliła z podziwem wargi, wodząc wzrokiem po płótnie. Pogładziła opuszkami palców usta potwora, następnie dotknęła swoich, nadal uchylonych. Odwróciła się w moim kierunku.

– Co się stało z Lenorą? – zapytała po chwili. – Dlaczego zamiast pięknej, słonecznej Sewilli wybrał pan ponure Kemnitz? Sto lat

temu zaraza po raz kolejny spustoszyła kontynent, ale jak każda tragedia ludzkości, ta również miała swój koniec. Odszedł pan, zostawiając ukochaną i rodzinne strony, porzucił tamtejsze tradycje... Czym można się zajmować przez tak długi czas? Podróżowaniem? Poznawaniem obcych kultur? Uczeniem się języków? – Z jej ust wypłynęła seria pytań. Intensywnie przy tym gestykulowała.

Ogień palił się coraz mocniej, a przez smród spalenizny przedarł się delikatny, kwiatowy zapach. Elaine podeszła do kominka i pochyliła się nade mną, oczekując wyjaśnień.

– Niektóre tragedie nie mają końca – rzuciłem słowa w odmętę popiołu. – Niesamowite, Elaine, ani trochę nie widać po tobie lęku. Czyżby naprawdę zafascynowała cię moja historia? – zwróciłem się do niej, cały czas kontrolując płomień, które odbijały się teraz w jej ciemnobrązowych tęczęwkach.

– Myli się pan, myli... – Pokręciła głową. – Mam wrażenie, że moja czaszka eksploduje od nadmiaru informacji! Nie pojmuję... Z całej historii mogę zrozumieć, że jest pan nieszczęśliwym i skrzywdzonym... – przerwała, wyraźnie powstrzymując się od dokończenia zdania.

– Szaleńcem – dopowiedziałem za nią. – Szaleniec to odpowiednie słowo.

Nerwowo podrapała się po łokciu.

– Stworzeniem – poprawiła.

Przez kolejne minuty snuła się po pokoju jak cień, zamyślona i smutna. Zawzięcie szukała wzrokiem jakiegoś punktu zaczepienia. Co chwila chwytła się za głowę, mierzwiąc wzburzone już fale włosów. Wreszcie stanęła przed oknem i skrzyżowała ręce na piersi, przygryzając wargę.

Ogień w kominku nie wystarczał, by odpowiednio oświetlić cały pokój. Zapaliłem więc świecznik i postawiłem go na stole.

– Ucieczka nie ma sensu.

– Wcale nie chcę uciekać – odparła bez zastanowienia. – Pan Albert polecił mi służyć w tym domu, tak też uczynię. Na samą myśl o tym boli mnie serce... Muszę się rozstać z człowiekiem, który mimo różnicy klas traktował mnie niemal jak siostrę.

Parsknąłem śmiechem, ściągając na siebie jej ciemne spojrzenie.

– Elaine, jutro rano weźmiemy ślub i staniesz się panią von Zierotin. Zawczasu poleciłem uszyć suknię. Leży gotowa na łożu w sypialni. Mam nadzieję, że trafiłem w twój gust i wymiary, aczkolwiek przy ich podawaniu nie miałem żadnych wątpliwości – przerwałem, by ostentacyjnie przyjrzeć się jej sylwetce. – Fabian oprowadzi cię po rezydencji i przedstawi reszcie służby. A, i proszę, zwracaj się do mnie po imieniu.

Zarumieniła się i głośno wciągnęła powietrze.

– Nie rozumiem. Dlaczego? – wydusiła, gdy znalazłem się obok niej. Ostrożnie położyłem dłoń na jej ramieniu, chcąc złamać dzielącą nas barierę.

Nagle ogień w kominku głośniej zasyczał, a blask płomieni wypełnił cały pokój, tłumiąc nikłe światło świec.

Patrzeliśmy sobie prosto w oczy. Ciemne tęczówki mieniły się złotymi drobkami, a tańczące płomienie potęgowały ich głębię, w której czaił się smutek. Bujne, falujące brązowe włosy, rozdzielone pośrodku czoła, opadały na twarz o smutnym spojrzeniu i delikatnie zaznaczonych, pełnych ustach. Elaine miała bardzo kobiece rysy, jednak można się było w nich doszukać także dziecięcej niewinności. Wkrótce miała skończyć osiemnaście lat, chociaż przez trudne życie stała się dorosła znacznie wcześniej.

Subtelnie zsunęła moją dłoń ze swojego barku. Drżała, gdy obejmowała się rękoma, wpatrzona w ciemny widok za oknem. Przypominała przerażone dziecko, rozpaczliwie wyglądające swojej opiekunki.

– Nie jestem chory na umyśle, nie musisz się obawiać – rzuciłem nieco złośliwie.

Odwróciła się do mnie.

– Nie! – krzyknęła. – A może... Może to ze mną jest coś nie tak? Może to fikcja wykreowana przez mój umysł? Może to ja jestem chora? Nie, to wszystko musi być tylko snem, który odejdzie wraz ze wschodem słońca – wyrzuciła z siebie jednym tchem i chwyciła się za głowę. Zdawała się lawirować między szaleństwem a spokojem, nieudolnie szukała rozwiązania nowo poznanej zagadki.

Wsunąłem palce pod jej podbródek, aby wymusić spojrzenie na mnie.

– Uspokój się. Przed chwilą siedziałas w fotelu, zasłuchana w moją opowieść, jakoby najpiękniejszą... – odezwałem się półszepem.

– Najstraszliwszą – poprawiła równie cicho.

– Najstraszliwszą. Nie przerwałaś mi, nie poderwałaś się ku ucieczce, a teraz zasypujesz mnie irracjonalnymi pytaniami.

Odsunęła się ode mnie.

– Irracjonalnymi?! – powtórzyła z oburzeniem. – Jak upiór może nazywać moje pytania irracjonalnymi? Czy naprawdę sądził pan, że wysłucham, ot tak, smutnej historii obłąkanego szlachcica, zaakceptuję ją i równie lekko zostanę pańską żoną?

– Dokładnie tak myślałem – rzekłem, dźwigając kąciki ust.

– Nie mogę za pana wyjść. Tak nie wolno. – Potrząsnęła głową.

– Elaine, nie proszę cię o rękę. Ja cię informuję. Nie masz wyboru.

Nie skomentowała tego.

Ponownie podeszła do *Głowy Meduzy*. Pomyśleć, że ze wszystkich pięknych obrazów, które wisiały na dębowej boazerii, wliczając w to portrety poprzednich właścicieli zamku, upodobała

sobie właśnie ten! Gładziła opuszkami miejsce, z którego wyciekała krew zamordowanego potwora.

– Wiesz, że krew Meduzy była magiczna? Ta płynąca z lewej strony ciała była śmiertelną trucizną, ta z prawej natomiast miała moc przywracania życia. Nawet Perseusz zaczerpnął krwi wypływającej z jej ran, które własnoręcznie zadał. Asklepios ożywił nią zmarłych. – Pierwszy raz zwróciła się do mnie bezpośrednio, zapominając o różnicach klas. Wraz z kolejnymi muśnięciami płótna odchodziła od niej złość, która jeszcze przed chwilą zawładnęła drobnym ciałem. Oczy Elaine zaszkliły się od łez, a pełne wargi ułożyły się w bolesny uśmiech. Trzymając palce na śmiertelnej ranie potwora, zamyśliła się nad słowami własnej opowieści. Milczałem, obserwując, jak zmagają się ze swoimi emocjami. W końcu podjęła:

– Jeśli wyjdę za ciebie bez miłości, krew z moich ran byłaby w stanie uleczyć twoją duszę? – Oderwała dłoń od płótna i zerknęła na mnie.

Westchnąłem przesadnie, czekając na kontynuację jej monologu.

– Z dnia na dzień pan Albert oddelegował mnie do tej posiadłości, która miała się dla mnie stać nowym domem. Jako służąca, czy też żona, moją powinnością jest zostać tutaj... z panem. Muszę spłacić zaciągnięty dług, który spędza mi sen z powiek. Ucieczka nie wchodzi w grę, zresztą nie mam dokąd się udać.

Niemal przykleiła się do okna. Zwiedzała wzrokiem ciemny las, który z nastaniem wieczora począł się budzić do życia, rozbrzmiewając licznymi zwierzęcymi odgłosami. Zamknęła powieki i wzięła głęboki wdech, jakby próbowała zaczerpnąć borowego powietrza. Uśmiechnąłem się pod nosem. Gwałtownie się ożywiła, wyczuwając moją reakcję. Przetarła zamyślane oczy, w których

jeszcze przed chwilą zbierały się łzy, i położyła dłoń na sercu, ciężko przy tym dysząc.

– Pozostał mi jedynie ślub z rozsądku, jednak nie rozumiem pańskich intencji. Jakie korzyści mogą wyniknąć z małżeństwa wytwornego szlachcica z prostą służką? Małżeństwa, w którym nie ma miłości. Nie chciałabym zniszczyć przyjacielskiej więzi, która między nami powstała. Nie rozumiem...

– Możesz uzasadnić moją decyzję, czym chcesz – rzuciłem podirytowany. Zaczęły mnie męczyć jej wywody. Stałem na tyle blisko, że nasze ramiona stykały się ze sobą, więc czułem przez materiał bijące od niej ciepło. – Nie wydajesz się specjalnie zaskoczona. – Uniosłem brew.

Usiadła na parapecie i delikatnie przesunęła opuszkami po szybie. W półmroku dostrzegłem oczy sowy, która siedziała na gałęzi najstarszego i najwyższego drzewa w okolicy. Duże ślepia połyskiwały ponuro. Odfrunęła, znikając wśród gęstych drzew.

Kąciki ust Elaine drgnęły.

– Przystojny młody szlachcic, co prawda podający się za potępieńca, ale nadal szlachcic, pragnie popełnić mezalians z prostą dziewczyną, której nawet dobrze nie zna. Sprowadza ją do samotnego zamku na wzgórzu, zmusza się do opowiedzenia swojej historii. Nawet jeśli pańska opowieść jest tylko wytworem chorego umysłu, jakże mogłabym nie współczuć tego nieszczęścia, skoro obnażył pan przede mną najmroczniejsze zakamarki zranionej duszy? Utracił pan całe dotychczasowe życie, wykreował przeszłość, w której się zatracił. Pan mnie nie kocha, ale wiem, że nie chce mnie też skrzywdzić.

Skrzyżowałem ręce z satysfakcją. Ogarnął mnie spokój. Nieistotne, czy uwierzyła w historię nieszczęsnego Javiera, czy współczuła szaleństwu Ksawerego von Zierotina. Być może w swojej

naiwności robiła to dla tego głupca, Alberta. Nieważne. Liczyła się dla mnie rola, którą miała odegrać. Nie nadawał się do niej nikt inny.

Zgodnie z moim poleceniem w drzwiach salonu pojawił się Fabian, a wraz z jego przybyciem zniknął unoszący się w powietrzu smutek. Elaine przetarła twarz jedwabną chusteczką i posłusznie udała się za mężczyzną, nie oglądając się już za siebie.

– Do jutra – rzuciłem na pożegnanie.

Odpowiedziało mi głośnie kwilenie sowy.

* * *

Poranny świergot ptaków łamał mury wznoszącego się przede mną zamku.

Usiadłem na kamiennym moście prowadzącym do posiadłości, podziwiając jeszcze ciemnobłękitne niebo. Na linii horyzontu ukazała się jasnoczerwona barwa zwiastująca nadchodzący dzień. Po wczorajszej ulewie powietrze było przyjemne, rześkie.

Dałem Elaine czas, którego potrzebowała, by zaakceptować wybrany przeze mnie los. Resztę wieczoru krzątała się po posiadłości, oprowadzana przez mojego zaufanego sługę, Fabiana, który miał zapoznać ją z ogólnymi zasadami poruszania się po rezydencji, w tym z drobnymi ograniczeniami, jakie postanowiłem wprowadzić dla jej własnego dobra. Otóż miała przysiąc na wszelką świętość, że nie będzie błądzić po pokojach w zachodnim skrzydle, a także korzystać z tylnego wejścia. Wstęp na wieżę był surowo wzbroniony, zresztą nie tylko dla niej, gdyż służba również nie miała prawa tam przebywać. Tak było lepiej i bezpieczniej dla wszystkich.

Wczorajszej nocy, pochłonięty przez strony arturiańskich legend, w których uwielbiałem się zaczytywać, siedząc w bibliotece, zauważyłem, że pomiędzy Fabianem a dziewczyną szybko nawiązała się

nić porozumienia. Trudno było nie zwrócić uwagi na odbijające się od ścian zamku ciche śmiechy, które nikczemnie rozpraszały moją codzienną lekturę. Jednakże nie przeszkadzało mi to, byłem nawet zadowolony. Czas nie ucieknie. Przynajmniej mnie.

Niebo stawało się niepokojąco jasne, a czerwień poczęła dominować nad głęboką barwą atramentu. Dzień zapowiadał się nazbyt pięknie.

Ruszyłem w stronę kościoła, przy którym znajdowała się niewielka kapliczka ze starym krzyżem i wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny. Parę dni temu odwiedziłem tutejszego proboszcza. Zgodził się udzielić nam sakramentu małżeństwa, choć nie krył zdziwienia moją nagłą wizytą. Dla formalności zadał kilka pytań, by potwierdzić wiarygodność naszego uczucia. W końcu ani razu nie widział nas razem w kościele. Samego też mnie nie widział. Uwierzył jednak w bezwarunkową miłość od pierwszego wejrzenia, a ślub przy kościelnej kapliczce miał być tylko kolejnym kaprysem nowo przybyłego dziedzica. Wybrałem taką formę, gdyż z czystej przyzwoitości wolałem nie pokazywać się w kościele, a widok starego kamiennego krzyża porośniętego dzikim bluszczem i dobra postać świętej Matuchny napawały mnie przyjemnym spokojem. Nie wspominając już o przykościelnym cmentarzu, na który lubiłem zaglądać nocami.

Rozbrzmiały dzwony kościelne zapowiadające poranną mszę, a wraz z ich biciem na leśnej dróżce pojawił się także zaspany proboszcz: niski mężczyzna o franciszkańskim sposobie bycia. Wiecznie uśmiechnięty, swoim szczerym wyglądem z pewnością wzbudzał zaufanie wiernych.

– Gdzie się podziała pańska oblubienica? – zapytał po chwili.

– Zaraz przyjdzie – rzekłem krótko, zerkając w stronę rezydencji. Z mojego polecenia służba miała zapoznać Elaine zarówno z zamkiem, jak i planami dotyczącymi ślubu. Wczorajszego wieczoru

darowałem sobie zbędne szczegóły, dlatego kwestię dzisiejszych wydarzeń poleciłem poruszyć pokojówce, którą pod względem sumienności stawiałem na równi z Fabianem.

Z napięciem podniosłem wzrok ku niebu. Mogłaby się pospieszyć.

– Idzie! – stwierdził proboszcz, wskazując palcem na biegnącą w naszą stronę jasną postać.

Stała przed nami, zachłannie łapiąc powietrze.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała zmieszana. W ręku trzymała bukiet ze świeżo ściętych magnolii otulonych gałązkami świerczyny. Biała suknia falowała na porannym wietrze, a ciemne włosy, splecione w luźny warkocz, spływały po drobnym ramieniu. Zamiast welonu, który dla niej wybrałem, we włosy wplotła kwiat magnolii. Emanowała szczerą dobrocią, a jej klasyczne piękno upodabniało ją do smutnego anioła.

Uśmiechnęła się ciepło do kapłana.

– Możemy iść. Jestem wdzięczny, że zechciał ojciec po nas wyjść, choć uważam, że było to zbędne.

Wyciągnąłem ramię, by Elaine się na nim wsparła.

Błądziła wzrokiem po licznych krzewach i niewielkich drzewach, podziwiając z zachwytem piękno miejsca. Na moje szczęście zamek sąsiadował z kościołem, a dotarcie na plac kościelny zajmowało parę minut. Co jakiś czas proboszcz rzucał pojedyncze komentarze, próbując rozładować napięcie pomiędzy przyszłymi małżonkami. Ignorowałem je, za to Elaine zdawała się wzruszona postawą księdza. Gdy dotarliśmy na miejsce, zatrzymała wzrok na kamiennym krzyżu. Puściła moje ramię i cicho westchnęła. Chwyciłem ją za rękę. Usta starałem się uformować w uśmiech podobny do tego, jaki przed chwilą posłała do proboszcza.

– Cieszę się, że przyszłaś – rzekłem, siląc się na możliwie najczulszy ton. Proboszcz także uśmiechnął się pod nosem, zapewne nadal tłumacząc sobie zakłopotanie Elaine przedślubną treścią.

Z racji tego, że nie należał do zbyt wysokich, stanął na porośniętej mchem skale, odpowiednio wyżej od nas. W ręku trzymał Pismo Święte. Uklękliśmy przed duchownym.

Rozpoczęła się ceremonia. Elaine zamknęła oczy i ze skupieniem słuchała kolejnych wersów, momentami ściskając mocniej moją dłoń, jakby przeżywała każde słowo. Z obojętnością obserwowałem jej wewnętrzne zmagania, gdy próbowała uwierzyć w narzuconą miłość. Pod powiekami uparcie więziła zbierające się łzy. Drżała z każdym kolejnym zdaniem padającym z ust kapłana. W końcu ksiądz połączył nasze dłonie stułą, a my przysięgliśmy wierność przed Bogiem, bo na miłość i uczciwość było już za późno. Zostaliśmy mężem i żoną.

Ceremonia szybko dobiegła końca, a proboszcz udał się do kościoła, by odprawić poranną mszę. Odchodząc, życzył nam szczęścia. Gdy zniknął za drzewami, delikatnie puściłem dłoń Elaine. Z jej oczu wyczierała głęboka melancholia, którą próbowała stłamsić uśmiechem. Wyciągnąłem dłoń w stronę jej twarzy, ale dziewczyna natychmiast się odwróciła, unikając mojego dotyku. Przytuliła do piersi bukiet.

– Magnolia? Wzięłaś na ślub żałobne kwiaty. Doprawdy, mogłaś od razu wybrać kalie. – Roześmiałem się gromko.

– Greta uznała, że te kwiaty będą mi pasować. Bardzo lubię magnolię i nie uważam jej kwiatów za żałobne – odpowiedziała pewnie, przykładając bukiet do twarzy. Zamknęła oczy, w skupieniu wdychając subtelny zapach roślin. Pochłonięta przez własne myśli, nawet nie zauważyła, że przejechałem ręką po jej luźnym warkoczu i przełożyłem opadający kosmyk za ucho.

– Ach, Greta, no tak. Miała ci pomóc w przygotowaniach. – Dotknąłem wpiętego kwiatu, który cudownie bielił się w jej włosach. – Niech będzie. Patrząc na ciebie, Greta spisała się doskonale. Chodźmy już, nie każmy jej czekać.

Wsparła się na moim ramieniu i westchnęła z niezadowoleniem, myśląc, że nie usłyszę. Udaliśmy się w kierunku zamku. Szliśmy wolno, pozornie lubując się swoją obecnością. Elaine, zamiast zachwycać się nowym małżonkiem, wpatrywała się w wyrastającą przed nami masywną wieżę. Cóż, zamek był wspaniały. Kręta droga prowadząca na wzgórze pozwalała na podziwianie wielu równie zachwycających widoków.

Rezydencję wzniesiono setki lat temu. Pierwotnie służyła jako warownia, jednakże z biegiem czasu straciła swoją obronną funkcję. Ukryta wśród gęstwiny drzew i otoczona fosą, stanowiła idealne miejsce dla osobnika stroniącego od obecności ludzi. Gdy przechodziliśmy przez bramę, Elaine zerknęła na wrytą nad głównym wejściem inskrypcję, będącą datą kolejnej przebudowy: „1562 rok”.

Z pewnością w czasach odrodzenia surowa gotyka warownia stała się bardziej ludzka. Kolejne zamieszkujące ją pokolenia stłumiły militarny charakter kolorowymi kwiatami, a kamienny most stał się tylko kolejnym romantycznym miejscem schadzek.

Osobiście miałem dosyć takich mostów.

Przed świtem obrośnięta zielenią budowla wydawała się niemal wyrwana z baśni, a płynąca spokojnie w fosie woda odbijała pomarańczowe pasma światła.

– Jak tu pięknie... – szepnęła Elaine, jakby zapominając o swoich drobnych dąsach. – Minęło prawie dwieście lat, odkąd twój zamek stał się bardziej przyjazny dla oka, a jednak... czas się dla niego zatrzymał.

– Nie taki diabeł straszny, jak go malują – odparłem z przekąsem, w duchu przyznając jej rację.

Mieliśmy tysiąc siedemset pięćdziesiąty siódmy rok, a kamiennych murów i skrytego w ich sercu mroku nie rozświetliło jeszcze światło panującej epoki. Być może dlatego, że zamek przez ostatnie sto lat stał praktycznie niezamieszkały przez właścicieli. Nie

przeszkadzało mi to, miałem sentyment do wszystkiego, co ludzkie, czy tego wspaniałego połączenia beztrioskiej radości z chwili i pamięci o śmierci. Och, broń Boże, nie neguję współczesnej filozofii! Człowiek to dla mnie najślabsza trzcina na wietrze, ba, nawet najwężlejsza w przyrodzie, ale czy na pewno każda taka trzcina jest rozumna? Patrząc na zachowania wielu, śmiem wątpić.

Gdy weszliśmy do zamku, na korytarzu czekała na nas służba. Fabian i Greta starym zwyczajem przywitani nas chlebem i solą, zresztą całkowicie niepotrzebnie. Mimo licznych życzeń oraz gratulacji wyczułem u nich lekkie zmieszanie. Nie wiedzieli, jak powinni się zachować. Skoro ich nowy pan wziął ślub, a o żadnym weselu nie było mowy, samowolnie postanowili przywitać nas tym symbolicznym, ale jakże odważnym i miłym gestem.

Elaine przestąpiła z nogi na nogę. Zasłoniła się kwiatami, próbując ukryć oblewający ją rumieniec. Zastanawiałem się, czy mieniące się na jej rzęsach łzy wywołał smutek, czy też chwilowe wzruszenie.

Swawolny uśmiech nie schodził z moich ust. Chyba nie uwierzyła w prawdziwość tego małżeństwa?

Elaine niepewnie wyciągnęła bukiet w stronę Grety.

– Proszę, wstaw je do wazonu – poprosiła drżącym głosem.

Podąłem Fabianowi opończę dziewczyny. Mimo porannego chłodu zapowiadała się przyjemna pogoda. Pierwszy dzień w nowym miejscu Elaine będzie jednak musiała spędzić beze mnie.

Musnąłem ustami jej dłoń i pokierowałem ją do komnaty gościnnej. Fabian uśmiechnął się pod nosem i zniknął w jednym z licznych pokoi przyległych do korytarza.

Weszliśmy do pomieszczenia, gdzie ciemnozielone zasłony skutecznie chroniły przed ostrym światłem świtu. Na stole czekała bogata zastawa. Usiedliśmy w centralnej części, obok siebie, trzymając się za ręce.

Muszę przyznać, że Elaine dzielnie znosiła to całe małżeńskie przedstawienie. Choć sama nie wykazywała zbyt inicyjatywy, potulnie angażowała się w kolejne sceny, które kreowałem, by nie wzbudzić podejrzeń.

Pomiędzy licznymi uśmiechami dostrzegłem jej drżącą brodę.

Greta wróciła ze szklanym wazonem wypełnionym kwiatami magnolii i świerczyną. Ustawiła go na środku stołu, wśród wykwiutego jadła. Ukłoniła się nisko, po czym udała się z powrotem do kuchni.

Elaine zerknęła na mnie spod wachlarza długich rzęs.

– Może Greta i Fabian zjedliby śniadanie razem z nami? – zapytała.

– Służba jada osobno. Pomijając już ogólnie przyjęte zasady, czują się swobodniej we własnym gronie – odparłem od niechcienia, nakładając na jej talerz świeżo wędzoną szynkę.

– Masz więcej podwładnych? – Rozejrzała się po pokoju. Na ścianach wisiały liczne gobeliny, na których dało się rozpoznać sceny zaczerpnięte z różnych mitologii, zaczynając od greckiej, a kończąc na wyznaniach Celtów. Odniosłem wrażenie, że oczy ponownie utkwiła w płótnie przedstawiającym Perseusza i Meduzę. Parsknąłem śmiechem, przypominając sobie jej wczorajsze przejście obrazem Rubensa. Naprawdę musiała lubić tego stwora.

– Mamy – rzekłem twardo, ściągając na siebie wzrok dziewczyny. – Jeszcze ogrodnik oraz kucharz. Ale to i tak za mało, winno być więcej, jednak nie lubię się otaczać licznym gronem, gdy nie jest to konieczne. Moja droga, chyba nie sądziłaś, że we dwójkę daliby radę utrzymać całą rezydencję? Aż dziw, że dzisiaj w ogrodzie nie spotkałaś Filipa, skoro byłaś z Gretą po kwiaty. Chociaż to, jak na niego, wyjątkowo wcześnie...

– Byłyśmy tam tylko przez chwilę. Nikogo nie dostrzegłam. – Łypnęła na zawartość swojego talerza, na który zdążyłem nałożyć jajecznicę i ciemny chleb. – Bardzo dziękuję, ale nie jestem głodna.

– Nalegam. Obiady będziemy jadać osobno, więc nie będę mógł cię upilnować. Jesteś blada, wolałbym, abyś nie zasłabła podczas naszego pierwszego spaceru. – Przegryzłem słowa białym pieczywem.

– Zaiste, to z przejęcia. W końcu związałam swoje życie z człowiekiem, którego praktycznie nie znam. – Wbiła wzrok w zastawę. – Dziękuję za posiłek, ale nie będę jadła.

Pokręciłem głową z dezaprobatą.

Cóż za rozkapryszona dziewczucha. Widownia zniknęła, więc jak każda kobieta, wreszcie musiała dać upust niezadowoleniu, by później móc się dalej wcielać w rolę zakochanej żony. Przyznaję, że nieco zaskoczyła mnie jej reakcja. Pozytywnie. Od chwili przybycia do zamku była zdecydowanie zbyt pokorna. Nie mogłem pozwolić, by wyrzuty i podłe nastroje, które jeszcze nie raz będą ją nawiedzać, odbijały się na kruchym zdrowiu tej cierpiącej istoty.

– To nie tak, jak myślisz... Doceniam starania, ale po prostu jest dla mnie zbyt wcześnie na posiłek. Zjem za dwie godziny. – Zasłoniła ręką usta. – Pachnie i wygląda wyśmienicie.

Uniosłem lewy kącik ust.

– Rozumiem, nie przywykłaś do śniadań. Jeśli nie zjesz, Bramowi będzie przykro, ale jak wolisz – mruknąłem, patrząc na nią kątem oka. – Będę zaszczycony, jeśli mimo tego dotrzymasz mi towarzystwa przy posiłku. Postaram się nie przedłużyć. Na wino też nie nalegam, jest wczesna pora, jednak mała lampka na rozpoczęcie dnia mi się przyda. – Nie szczędząc trunku, napełniłem kieliszek. – Wszystko zostaje w tych murach, moja droga. – Podniosłem

naczynie do ust i wypilem jednym haustem, ciesząc się smakiem ulubionego jerez, którego poskąpił mi Albert.

– Dziękuję... Przepraszę go za kłopot, gdy tylko nadarzy się okazja – wyszeptła. Rzuciła okiem w kierunku kuchni, z której dochodził hałas.

Chrząknąłem głośno. Fabian z Gretą zjawili się w mgnieniu oka. Na moje polecenie kamerdyner podszedł do Elaine. Dziewczyna wstała, niezdarnie odsuwając krzesło. Służący wyjął z kieszeni niewielkie drewniane pudzderko. Ukłonił się i wyciągnął dłonie w stronę mojej nowej żony. Skinęła w podzięcie i niepewnie przyjęła upominek.

– To dla ciebie – rzuciłem, biorąc do ust ostatni kęs wędliny. – Nie otworzysz?

Wolno uchyliła wieko. Wnętrze pudzderka wyścielał biały jedwab, w którym zatopiony był srebrny półksiężyc. Na środku wisiora mienił się starannie wyszlifowany ametyst.

– Ja... To nie było konieczne, naprawdę. Bardzo dziękuję, jest piękny – wydukała, błędząc wzrokiem po dębowym parkiecie.

– Lunula. Ametyst pochodzi z tutejszych gór. Oj, no dalej, nie bądź już taka zaskoczona! Możesz potraktować ten wisior jako zadośćuczynienie za brak wesela. Albo jako prezent ślubny od kochającego męża. Obrączkę ma każda. Greto, pomóż mojej żonie się przebrać – odezwałem się do służki, która w skupieniu obserwowała całą scenę, a jej obecność zdradzały tylko dyskretnie wymykające się z piersi westchnięcia. Na dźwięk mego głosu poprawiła okulary, następnie wskazała Elaine, by z nią poszła.

– Klasyczna biała suknia idealnie podkreśla twoją grecką urodę, jednak nalegam, by Greta wybrała ci coś odpowiedniejszego na co dzień. – Kiwnąłem do służki. – Poczekajcie chwilę.

Greta przytaknęła. Elaine spoglądała z niedowierzaniem to na mnie, to na drewnianą szkatułkę, która skrywała wisior.

Wstałem, zostawiając po sobie pusty talerz. Wyciągnąłem dłoń do żony, która drżącą ręką podała mi puzderko. Uśmiechnąłem się najmniej fałszywie, jak tylko mogłem, i poprosiłem, aby się odwróciła. Sprawnie zawiesiłem naszyjnik na jej smukłej szyi.

– Jest wspaniały... – wymamrotała, dotykając biżuterii, gdy już opadła na jej piersi.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – szepnąłem Elaine do ucha. Jej włosy pachniały kwiatami magnolii.

Pokraśniała i odsunęła się ode mnie gwałtownie. Pogładziłem się po brodzie i zwróciłem się do Grety, która także zdążyła spłonąć rumieńcem.

– Zostaw magnolię we włosach. Niech sama opadnie.

Greta przytaknęła. Opuściłem pokój, Elaine zaś odprowadziła mnie wzrokiem. Udałem się na poranny spoczynek do biblioteki.